Rozmaitości

Dnia 12. sierpnia N^er. 32. 1831 roku.

Emilia de Vergy.

(Dokończenie.)

Tak upłynęły dwa roki, gdy przyjaciela mojego w część północną kraju interesa powołały. Pora roku jeszcze przykrą była, drogi złe, prawie nieprzystępne. Rzadko zdybując porządne domy zajezdne, zmuszony był szukać gościnności u obcych dóbr posiadaczów. Tym sposobem więc przybył raz wieczorem do zamku pewnego szlachcica, gdzie tak od tegoż, jak od pięknéj i przyjemnéj jego małżonki grzecznie był przyjęty. Przyrządzono dlań pokój w jednym z pawilonów zamku, a zmordowany podróżny w gościnnym domu tym znalazł wszystko ku wygodzie swojéj. Położył się więc spać, a wierny pies, który go nigdy nie odstępował, układł się u stóp łoża jego.

Spał spokojnie i twardo, gdy w tém obudziło go raptowne psa szczekanie. »Cicho tam!« zawołał przerwaniem tém oburzony. Ale pies posłuszny zwykle, tą razą szczekał ciągle, lubo nie można było pojąć na kogo, a głos jego przeszedł nakoniec w żałosne i okropne wycie. Sądząc, że zwierzę zachorowało, wziął je do siebie do łóżka. Uspokoiło się, lecz oddech jego był ciężki niewymownie. A w tém Teobald słyszy dzwięk, jak gdyby od szkła najczystszego pochodzący; zrywa się, oczyma obwodzi po pokoju; lecz najgłębsza, najregularniéjsza ciemność w około rozpostarta była, i nigdzie żadnego przedmiotu nie można było rozpoznać. Po drugi raz zabrzmiał głos tuż koło niego, równie czysto, rownie dźwięcznie. Słucha, aliści i — po raz trzeci zabrzmiał. Jak posąg siedział bez ruchu, tymczasem tony coraz głosniéjsze, coraz regularniéjsze były i zdawało mu się, że mógłby je uchwycić, że mógłby oznaczyć miéjsce, na którém w powietrzu powstawały. Nigdy nie słyszał jeszcze tak przenikającego tonu, który powtarzając się w jednakowo wymierzonych przerwach, podobny był do dzwónka, najczyściéj bijącego, a który głąb duszy jego we wszystkich jéj tajnikach poruszał. Zerwał się i z odwagą rozpaczy stanął na miéjscu, zkąd owe tony zdawały się wychodzić; ustały. Przerażony stał i słuchał, cicho było wszędzie. Ledwo ruszyć się odważył, lecz zwolniało nareszcie natężone oczekiwanie, a on do okna poskoczył. Powietrza, światła! było jedyną jego myślą, uczuciem, które w myśl nie skojarzyło się jeszcze. Otwiéra okno, odsuwa firanki. Zimne powietrze nocne wionęło ze dworu przy najpiękniéjszém świetle księżyca, pokój cały oświecającém; to pokrzepiło nerwy jego, to go znowu mężem zrobiło. Pokój był próżny, drzwi dobrze zamknięte; żadnych drzwi skrytych, żadnéj framugi nie było, wszystko widoczne i okrom niego żadnéj żywéj duszy. Raz jeszcze stanął w oknie. Na dworze, cicho i ze zwyczajną oznaką wielkości, spoczywała wieczna natura, marząca i w zamyśleniu płaszczem nocy okryta, a czoło jéj równie blaskiem księżyca, jak i wzniosłémi myślami uświetnione było.

Jaśniéjszy widnokrąg lasy sosnowe cieniowały, góry dalekie spoczywały w niebieskawéj osłonie, a oddalone jak i blizkie przedmioty, w świetle nocy w równym jaśniały widoku; tak oku ducha nieśmiertelnego zarówno teraźniéjszość jak i przyszłość widoczna. Rzut oka na tę spokojność i umysłowi Teobalda spokojność wrócił; wielkie, odwieczne prawa natury nastręczyły się rozwadze jego, i rozśmiał się na wspomnienie wypadków świata naszego, będących urojeniem wzburzonéj fantazyi. Ciągle jeszcze patrzał w daleką przestrzeń nocy i od tego świętego obrazu odłączyć się nie mógł; nareszcie położył się i spał aż do rana, oświécony promieniami księżyca.

Przyjaźnie powitali go gospodarstwo, gdy spoczynkiem pokrzepiony do nich na śniadanie wchodził. Samotnie żyjąc, uradowali się jego towarzystwem, a rozmowa ich coraz żywszą i poufalszą była. Namówiono go, ażeby dzień jeszcze pozostał, jakoż przepędził go nader przyjemnie. Idąc spać prosił o wodę z cukrem. Gdy mu cukierniczkę podano, czytał na jéj wiérzchu nazwisko *Emilia de Vergy*. Z podziwieniem powtórzył je głośno. »Tak nazywałam się panną,« rzekła gospodyni, »czy znane wćp. to imię?« Teobald upewnił, że słyszał coś o niém, lecz do dalszéj rozmowy stracił całkiem ochotę, pożegnał się i do pokoju odszedł. Nie bez przerażenia przekroczył próg jego; to tak częste napotykanie jednego nazwiska, obudziło w nim wszystkie pomysły przeszłéj nocy; rozebrał się, starannie opatrzył pokój, zamknął drzwi, nabił pistolety, nie zasuwał okna firankami, nie zgasił świécy i usnął.

Sny niespokojne prześladowały go, których jednak wytłumaczyć sobie nie umiał. Raptem zdawało mu się, że go jakiś hałas obudził. Drzwi pokoju cicho i ostrożnie otworzono, i z wielkiém podziwieniem swojém ujrzał wchodzącego gospodarza, ze świécą w lewéj ręce, z którą pokój starannie przeglądnął. Oczy gospodarza dostrzegły go w łóżku — pojrzał ciekawie, czy spi, przekonawszy się o tém, bliżéj przystąpił, postawił świécę na stole — zbliżył się do łóżka, a Teobald ujrzał z przerażeniem gwóźdź i młotek w ręku jego. Chciał zerwać się i za pistolety chwycić, ale jakiś letarg okropny uwięził mu członki. Leżał bez ruchu; a w tém gospodarz podniósł gwóźdź i już młotem chciał mu go wbić w skronie, gdy głośny wykrzyk wyrwał Teobalda z letargu; otworzył oczy i ujrzał, jak słońce poranne przyjemnie już okna pokoju jego oświécało. »To był sen tylko,« rzekł uszczęśliwiony i radował się dnia światłem. »Ale w saméj istocie byłżeżto sen tylko?« zapytał sam siebie w chwili następnéj i zaledwo wierząc temu, jeszcze z przerażenia nie mógł się upamiętać. Uczuł się być głęboko przeniknionym, a przebyte właśnie urojone niebezpieczeństwo ciężyło jeszcze na wszystkich jego członkach. Długo tak siedział zamyślony, nareszcie uczuł, jak łzy po policzkach jego spłynęły. Zawstydzony zerwawszy się, przemocą prawie upamiętał się: »mamże tak słabe nerwy, jak kobiéta?« zapytał się zgorszony i ubiérać się zaczął.

Jestto szczególniéjszém zjawiskiem, które wszakże zawsze prawie potwierdza się, że człowiek z niebezpieczeństwa wielkiego ocalony, miłém uczuciem ratunku nie długo poić się może, że więcéj go trwoży przypomnienie przebytych cierpień, jak sama chwila niebezpieczeństwa, i że w przypadku tym, jakieś omdlenie i przerażenie opanowywać go zwykło, które z czasem dopiéro ustaje. Teobald przemocą pokonawszy je, wszedł wesoło w grono familii. Widok gospodarza jednak sprawił na nim jakieś szczególniéjsze wrażenie, pasował się sam z sobą, starał się być wesołym i, by rozerwać się umyślnie mówiąc wiele, mimowolnie imię Ozenstierny wspomniał. Na odgłos nazwiska tego wzdrygnął się gospodarz, jak gdyby gadzinę obaczył i rzucił okiem w kąt pokoju. Zastanowiło to Teobalda. »Czy znałeś wćpan hrabiego Oxenstiernę!« zapytał się go. — »Tak — cokolwiek — raz go widziałem.« — Dziwne jego zniknienie musi być bez wątpienia wiadome wćpanu; czy nie wiesz wćpan bliższych o tém szczegółów?. Zniknął w górach téj prowincyi.« Bladość śmiertelna okryła oblicze gospodarza; badawczo pojrzał na gościa, jak gdyby chciał

najskrytsze myśli jego wyczytać. Na śledczy wzrok gospodarza, podobnym odpowiedział Teobald, a tego, mimo nadaremnéj walki z bezczelnością, gospodarz wytrzymać nie mógł. Piękna gospodyni, nie bez trwogi jednak, temu nieprzyjemnemu milczeniu koniec położyła. »Znaliśmy w saméj istocie hrabiego,« rzekła, »ale o historyi zniknienia jego tyle tylko wiémy, co wszyscy. Co roku w górach tych nieszczęśliwe przypadki zdarzają się ludziom, mało kto na to uważa i tylko znakomite imię hrabi, historyi jego tę nadzwyczajność w oczach świata zjednało.« Szlachcic wstał i opuścił gościa, jak mówił pod pozorem pisania listów, które nazajutrz z rana na pocztę iść miały. Młoda małżonka jego w głębokich myślach siedziała przed Teobaldem, widział wyraźnie, jak łza na jéj powiece zadrzała. Odwróciła się, Teobald chciał odejść, ale zatrzymała go prosząc, ażeby nigdy przed mężem imienia hrabiego nie wspomniał. »Hrabia« rzekła głosem niepewnym, »starał się piérwéj o mnie, ale opiekunowie odmówili mu rękę moję. Mąż mój niechętnie imię jego słyszy.« Teobald pożegnał się, długo spać nie mógł, myśli najdziwaczniéjsze krążyły po głowie jego, a gdy nad ranem uspokoił się cokolwiek, ten sam sen z témże samém okropném przekonaniem jawności, stanął przed duszą jego. To samo omdlenie wstrzymywało mu członki, równie jak piérwéj widział wyraźnie postać gospodarza, a obudziwszy się z krzykiem, znowu nic nie widział, tylko piérwsze promienie słońca od wschodu, słabo pokój oświécające. Ubrał się prędko, a przykrząc sobie samotność w pokoju, wyszedł w pole przez kurytarze domu, nikogo prawie nie zdybując.

Droga prowadziła go do mniéj ludnéj części wioski, któréj mieszkańcy, stojąc w drzwiach chat swoich, ciekawie nań poglądali; nie uważał na nich i szukał samotności. Wyszedłszy za wioskę ujrzał mur nizki, ten przeskoczywszy stanął na cmentarzu wiéjskim, napełnionym wielu grobami i kilku p mnikami. Przechadzał się w szczególném wzruszeniu po między grobami, czytał nic nie znaczące napisy, stanął nareszcie przed jednym nie bardzo dawnym grobem, który dziwnym sposobem uwagę jego ściągał. Grób ten tu i ówdzie tylko młodą trawą i chwastem był przyrosły. »Kto tu leży?« zapytał się przechodzącego grubarza. »Albo ja wiém, zapewne chłop jaki,« krótko tenże odpowiedział. Ton, którym mówił, zwrócił uwagę Teobalda, włościanie w okolicy téj byli wszakże dosyć pokorni dla wyższych. »Pytam się o nazwisko pochowanego tutaj« zapytał się ostro i stanowczo. »Nie pamiętam.« — »Nie pamiętasz?... Jakże dawnym być może grób ten?« — »Zapewne kilkonastoletni,« odrzekł grubarz i chciał odejść. Teobald poznał, że to wyraźne kłamstwo było. »Łotrze,« zawołał, »trzech lat nié ma nawet, jak grób ten wykopany! Żądam, ażebyś mi grób ten otworył.« — »Czyście oszaleli, panie, możecie żądać, lecz to nie stanie się!« Teobald starał się nakłonić go dobrym sposobem, dawał mu pieniądze, lecz człowiek ten niczego nie chciał i starał się wymknąć tylko. Teobald uważał, że z początku powoli szedł, lecz potém, gdy sądził, iż go nie uważano, biegł coraz pospieszniéj do zamku. Udał Teobald, jak gdyby nie uważał tego, inną obrał drogę i poszedł do domu zajezdnego. Tu jak najprędzéj wsiadłszy na konia, ku najbliższemu miastu popędził. Dopiéro o południu przybył do miasta, zameldował się w rządzie i dla otworzenia grobu tego, policyjnego upoważnienia i eskorty żądał. Po wielu trudnościach ze strony urzędników, zezwolono mu nareszcie na to, gdy imię swoje powiedział, oświadczył, jakie ma związki w stolicy i że wzbranianie się urzędu, natychmiast władzom wyższym doniesie. Wziął pocztę i jeszcze przed zachodem słońca stanął w wiosce. Natychmiast udał się na cmentarz. Szczególność działania jego piorunem rozeszła się po wsi, proboszcz przybył, a w krótce publiczność cała zgromadziła się. Właśnie chciano rozpoczynać robotę, gdy dziedzic z dzikiém spojrzeniem przedarł się przez tłumy, i na Teobalda grzmiącym wołał głosem: »Czego wćpan chcesz tutaj?... Co wćp. przedsiębierzesz?.. Ja tu jestem urzędem... Co wćpanu mieszać się w rzeczy, ktore do niego nie należą?« Teobald ukazał wyższe upoważnienie. Go-

)(2

spodarz zbladł i wyjął parę pistoletów z za pasa. »Jestem jak najszkaradniéj obrażony,« zawołał z gniewem, »nim wćp. co tu czynić rozpoczniesz, musisz strzélać się ze mną.« Podał Teobaldowi pistolet. »Potém będę się strzélał,« rzekł tenże zimno i schował pistolet. »Strzélaj wćpan, albo natychmiast umrzesz!« krzyknął szlachcic w największym gniewie, i zaczął tłum przelękniony rozpychać. »Z wćpanem wcale nawet strzélać się nie myślę,« odrzekł nieustraszony Teobald, pistolet wystrzelił w powietrze i rzucił go dziedzicowi pod nogi. »Kończcie robotę,« rzekł, obracając się do ludzi. Otaczający go wydali okrzyk, poczém wystrzał nastąpił. Szlachcic leżał we krwi zbroczony. Przyskoczono doń, ale wszelka pomoc była daremną, kula przez serce przeszła. Nieszczęśliwy zaniesiony został do domu grubarza, a proboszczowi, dwa roki dopiéro w miéjscu tém zamieszkałemu, pozostało smutne zatrudnienie, do tego okropnego przypadku przygotować małżonkę zmarłego i skłonić ją do opuszczenia téj wioski. Od ludzi dowiedział się Teobald, że hr. Oxenstierna w saméj istocie tutaj przed trzema laty dni kilka przepędził. Tym czasem, mimo nadchodzącéj nocy, odkopano grób; wydobyto trunnę, otworzono, a Teobald przy świetle pochodni, ujrzał z przerażeniem sygnet przyjaciela, a z większém jeszcze przerażeniem, głęboką ranę w skroni zmarłego. Długi żelazny gwóźdź znaleziono w faldach sukni śmiertelnéj.

W rok potém zwłoki hrabi Oxenstierny do grobu familijnego w dobrach przeniesiono.«

* * *

Zamilkł starzec i przerwa nastąpiła. »A co stało się z Emilią de Vergy?« zapytała nieśmiało młoda dama.

»Udała się w podróż i jak słyszałem, umarła we Francyi.« — »A przyjaciel waćpana.« — »Opuścił Szwecyją.«

Powtórnie zamilkł starzec; nikt nie śmiał pytać się go więcéj. Ujął dziécię za rękę, które już było koło niego usnęło, dał znak do odchodu, powstał, a zą nim całe towarzystwo.

O zaślubinach królewnéj polskiéj Teresy, córki króla Jana III. z elektorem bawarskim. r. 1694. *)

(Z Bernarda O'Connora: *Opisania Polski i t. d.*)

»Król jednę tylko miał córkę, Teresę Kunegundę, mającą właśnie 23 lat. Była ta małego wzrostu i lubo nie zupełnie piękna, ale bardzo grzeczna. Wprawdzie nie równała się matcę swojéj w żywości, wspaniałości postawy i bystrości dowcipu, lecz miała także wiele rozumu, była bardzo skromną i posiadała wszystkie cnoty, przyzwoite damie takiéj. Umiała po francuzku, po włosku, po łacinie i po polsku, a lubo w obcowaniu i mowie nader była pokorną, grzeczną i przystępną, wszelako potajemnie była wyniosłego umysłu i chciwą panowania. Za mego czasu poślubioną została elektorowi bawarskiému, który z prośbą o jéj rękę dwakroć posyłał do Polski, raz barona Zell, drugi raz barona Simeoni, swego posła nadzwyczajnego. Ponieważ albowiem elektor bawarski po zmarłéj małżonce swojéj, córce cesarza, a młodszéj siostrze infantki hiszpańskiéj i ostatniéj królowéj francuzkiéj, miał tylko jednego syna, którego na króla hiszpańskiego przeznaczono, gdyby król teraźniéjszy umarł bezpotomnie, czego obawiać się należało, lękali się więc Bawarczycy, ażeby kraj ich w ten sposób w prowincyją zamieniony nie został, i upraszali elektora, by powtórnie ożenił się, dla dostania potomka, któryby nad niémi mógł panować, w przypadku, gdyby syn starszy do Hiszpanii powołany został.

Na zamęźcie to oboje król. ichmość przystali i dali córce 500,000 talarów w posagu, oprócz klejnotów i wydatków podróży. Obrzęd zaślubienia nastąpił z wielką paradą w Warszawie w sierpniu r. 1694, na który najznakomitsze osoby z żonami i z dziećmi z całego królestwa zjechały się, albowiem już ze 150 lat upłynęło, jak żadna królewna

*) Bernard O'Connor, Anglik, lekarz nadworny króla Jana III. wydał po angielsku: *Opisanie królestwa polskiego i w. księztwa litewskiego.* My niniéjszy wyciąg i późniéjsze, które jeszcze nastąpią, czerpaliśmy z przekładu niemieckiego dzieła tego z r. 1700.

polska za mąż nie szła. Damy bardzo kosztownie ubrane były i wyznać muszę, żem wtedy na dworze polskim, daleko więcéj widział klejnotów, jak na dworach innych. Szlachta i damy, według zwyczaju w Polszcze używanego, dary poprzywoziły królewnie, jak n. p. naczynia srebrne, zégarki kameryzowane i inne klejnoty. Oddając takowe, każda z osób mówiła osobny komplement. Mówią, że dary te do 100,000 talarów wynosiły. Hospodar wołoski przysłał parę kulców kosztownych. Zwyczaj ten udarowywania panny młodéj, panuje nie tylko na weselach królewnych, ale oraz na weselach wszystkich dam znakomitszych. Damy przeto idąc za mąż, rachują nie tyle na posag, wzięty od rodziców, ile na dary, które od krewnych i przyjacioł otrzymują.

Królewic Jakób, brat panny młodéj, przyjął w dniu zaślubin, za pozwoleniem króla i elektora bawarskiego, tytuł posła tego ostatniego, ponieważ dwór polski, jak mówiono, nie chciał przyjąć ambasadora od elektora bawarskiego, z przyczyny, iż nie był panującym piérwszego rzędu. Z tego powodu rano udał się królewic Jakób o trzy mile od miasta, i o drugiéj godzinie po południu odprawił wjazd paradny na koniu. Obok niego jechali obaj jego bracia, po prawéj królewic Alexander, po lewéj królewic Konstanty. Przed nim jechało wiele sześcio konnych karet, a za témi znaczna kawalkada szlachty polskiéj parami.

Tym sposobem wjechał do zamku, gdzie go król i królowa przyjmowali. Wpół godziny potém urzędnicy korony, senatorowie i szlachta, w licznem zebraniu, szli piechoto parami z zamku, po wyścielonem suknie szkarlatném do kościoła ś. Jana, może o 300 kroków od zamku oddalonego. Za niémi szedł królewic Jakób z panną młodą, daléj poseł francuzki p. de Polignac prowadził królową, a na końcu szedł król sam, z majestatycznym wyrazem na twarzy. Ślub dawał kardynał Radziejowski, teraźniéjszy prymas, powinowaty króla. Po ślubie udano się na zamek, gdzie dni cztéry zabawiano się ucztami, balami, ogniami sztucznémi, i dawano oraz włoską pastorelę, tudzież operę, zrobioną w tym celu przez sekretarza nuncyjatury papiezkiéj. Po skończonych ucztach miała królowa z Warszawy do Bruxelli wyjechać. Biskupa płockiego mianowano posłem, a małżonkę wojewody wileńskiego, córkę książęcia Czartoryskiego, posłową.

Imci pana Załuskiego, brata biskupa, z małżonką, wiele innéj szlachty i ze 40 ludzi z gwardyi przybocznéj króla przydano elektorowéj za towarzyszów podróży. Ambasador przedstawił królestwu ichmość, że w tak długiéj podróży, zwłaszcza przy zimnéj porze roku, potrzeba było dodać królewnéj doktora, bo w drodze zasłabnąć mogła. O miéjsce to starał się signor Revelli, Włoch, i wielu innych lekarzy. Królowa jednak nie chciała żadnego z nich, bo nie wiele o nich trzymała. Udałem się więc do p. Alberti, posła rzeczy pospolitéj weneckiéj na dworze polskim, wiele znaczącego u królestwa ichmość i prosiłem go, by to miéjsce dla mnie wyrobił, bo wielką chęć miałem wyjechać z tego dalekiego kraju i udać się do Anglii.*) Bo lubo oboje królestwo wiele mi łask wyświadczali, a królewic Jakób (którego partyja dworska za dziedzica tronu uważała), po śmierci króla dobrą mi pensyją przyobiecał; uważając jednak, że król, wtedy już 64 lat mający, przytém niezmiernie otyły, cierpiący puchlinę wodną, podagrę, katar i suchoty płuc, nie długo już żyć mógł, a królewic Jakób nie bardzo lubiony był w kraju, postanowiłem przeto opuścić królestwo polskie, nie mając nigdy stałéj chęci osiąść w kraju obcym. Królestwo ichmość nie wiedząc zatém tajnéj myśli mojéj, że chcę udać się do Anglii, mnie mianowali lekarzem podróżnym królewnéj, z czego bardzo uradowany byłem, lubo na pozór udawałem, że mię to nie wiele obchodzi. To więc było powodem, że prędzéj z kraju polskiego wyjechałem, jakem spodziewał się, sądziłem bowiem, że to przed śmiercią króla nie nastąpi.

Królewna udała się w podróż d. 11. listopada, a orszak jéj złożony był z 200 osób, które wszystkie ją aż do Bruxelli odprowadziły. Oprócz tych, wielu szlachty

*) Naładowawszy szkatułę dukatami polskiémi. Not. Tłóm.

towarzyszyło jéj aż na granicę brandeburską. We wszystkich miastach prowincyjnych, przez które jechała, wspaniale od wojewodów podejmowaną była. Piérwszy nasz nocleg był w Łowiczu, w zamku kardynała prymasa, gdzie świetnie elektorową przyjmowano. Następnie zatrzymaliśmy się w Poznaniu, w znacznem mieście województwa tegoż nazwiska, gdzie dwa dni bawiliśmy. Wojewoda i miasto złożyli dary królewnéj, przytem ucztę i ognie sztuczne dla niéj i dla całego orszaku wyprawiano. Z tamtąd udaliśmy się do Frankfortu nad Odrą w marchii brandeburskiéj, dokąd elektor wysłał kilka znakomitych osób, by królewnéj szczęścia życzyły i złożyły uszanowanie. Z Frankfortu pojechaliśmy do Berlina, gdzie oboje elektorstwo ichmość z liczną switą o dwie mile na przyjęcie nas wyjechali. Zdybawszy się z królewną wzieli ją z sobą do karéty i zawieźli na zamek, a tym czasem bito z dział, uderzono we wszystkie dzwony i inne robiono parady. Tu bawiliśmy dwa dni i widzieliśmy mnóstwo dworzan ustrojonych z wielkim przepychem. Na cześć królewnéj kazał także elektor zapalić ognie sztuczne, gdzie pokazały się imiona królestwa ichmość polskich i elektorstwa bawarskich. Królewna polska udarowała nie tylko elektorową brandeburską, lecz oraz i znakomitszych ministrów dworu. Podobnież zrobiła elektorowa, udarowawszy królewnę karminem, drogiémi kamieniami osadzonym, a znaczniéjszym jéj dworzanom również prezenta podawała.

Przedsiębiorąc dalszą podróż dni 12 bawiliśmy w krajach elektora, mającego ten zwyczaj, że osoby monarchiczne, jak długo w marchii brandeburskiéj znajdują się, własnym kosztem podejmuje. Królewna polska wyjechawszy z marchii brandeburskiéj, znowu kosztem własnym podróżowała. Wszelako uczty dawały dla niéj obie stolice Magdeburg i Minden, także elektor hanowerski, oraz biskupi hildeshejmski i minsterski.

Nareszcie z końcem grudnia przybyliśmy do miasta Wezel, należącego także do elektora brandeburskiego. Jestto miasta warowne nad Renem, odległe o 26 mil drogi od Bruxelli. Przybył tam elektor bawarski z całym dworem na powitanie małżonki. Ponieważ rzéka wielkiémi krami lodu napełniona była, dwa dni przez nię przeprawić się nie mógł. Nareszcie zniecierpliwiony i chcąc jak najprędzéj małżonkę swoję oglądać, odważył się na małém czółnie przebyć rzékę wraz z księciem Chimaj, baronem Simeoni i z trzema innymi dworzanami. Byłem właśnie w pokoju królewnéj, gdy elektor sam jeden schodami tylnémi wszedł do niéj. Z wielką radością powitał małżonkę i nie mało okazywał jéj pieszczot. Prawiąc jéj z pół godziny grzeczności, obrócił się potém do posła i do orszaku królewnéj i wszystkim nam podziękował za trudy, które w tak długiéj podróży odbyliśmy. Poczém z królewną, któréj poseł i posłowa towarzyszyli, udał się do drugiego pokoju i tam z półtoréj godziny zabawił.

Tym czasem zeszło się więcéj osób ze swity elektora, tak że o 9téj godzinie już cały dwór prawie był zgromadzony. Elektor zabawił u królewnéj do godziny 10téj, po któréj udał się na wieczerzą. Zjadłszy, znowu do swéj żony powrócił, a bawiąc u niéj do pierwszéj z rana, dopiéro poszedł do łóżka. Nazajutrz rano znowu był u niéj i prosił o pozwolenie, by mógł następnéj nocy małżeństwo odprawić, co się oraz stało.

Wnet po północy wysłano gońca do króla polskiego z wiadomością o tém. Dnia następnego w imieniu króla Jana III. oddano elektorowi kosztowną suknią węgierską, szacowaną na 30,000 talarów. Byłato długa suknia z aksamitu karmazynowego, przy któréj dziórki od guzików haczkami z dobrego złota opatrzone były Spodnia suknia była z materyi złocistéj, ozdobiona dyjamentowémi guzikami, do któréj dodany był pas ze skóry tureckiéj, złotem przerabiany, także ze złotémi sprzączkami i dyjamentami. Do sukień tych dodano jeszcze bardzo bogatą szablą, z rękoiścią dyjamentami i rubinami wysadzaną, wielki kosztowny piérścien ze szmaragiem i drogie nader futro sobolowe. Po południu wszyscy przeprawiliśmy się przez rzékę, a dnia następnego udały się bagaże za nami. Gwardyja królewska z karétami i większą częścią orszaku

wróciła do Polski, gdyż na mocy zawartego kontraktu ślubnego, nikt więcéj przy królewnéj nie miał zostać, tylko dwóch paziów, dwie damy dworskie i karlica. Gwardyja przyboczna elektora czekała z karétami dla przyjęcia królewnéj, po drugiej stronie rzéki. Udalismy się więc przez Antwerpiją do Mecheln, a z tamtąd do Bruxelli, dokąd przybyliśmy dnia 12. stycznia, zabawiwszy dwa miesiące w podróży. Za długoby trwało, gdybym chciał tu wyliczać wszystkie przygotowania, które elektor do przyjęcia żony swojéj poczynił, prezenta, które osobom, orzak jéj składającym podawał, lub uczty, na których byliśmy obecni; tyle dodam tylko, że nigdzie grzeczniéjszego, jak w Bruxelli, nie widziałem dworu, nigdzie lepszego porządku, ani ceremonii Balowaliśmy cały tydzień różnym sposobem, aż smutna o zgonie królowéj Maryi nadeszła z Polski wiadomość. S. L. J.

Rozmowa dwóch Francuzów.

»Jak się masz, przyjacielu?«

Nie najlepiéj. Od czasu rewolucyi, ani przez dwa dni ciągiem zdrów nie byłem.

»Ale wćpan wyglądasz tak zdrowo i czérstwo.«

Może dzisiaj, bo zażyłem elixir dra. Guillié. Ale codzień zażywać nie mogę; od czasu rewolucyi wszystko niezmiernie podrożało.

»Wćpan musisz być kontent z nowego pomieszkania swojego? Bardzo smakownie umeblowałeś się.«

Nie mów mi wćpan o tém. Wiele rzeczy nié mam jeszcze. Od czasu rewolucyi nie można dokupić się mebléw.

»Zégar wćpana za prędko idzie. Jeszcze nie jest tak późno.«

O, kochany przyjacielu, zégar ten szedł tak dobrze, jak żaden w świecie, lecz od czasu rewolucyi wszędzie nieporządek panuje.

»Słyszałem, że wćp. szukasz kucharki? Mogę mu nastręczyć bardzo dobrą, zręczną i poczciwą«

Poczciwą. - Od czasu rewolucyi trudno znaleźć poczciwego człowieka.

»Czy to prawda, że wćpan żenić się zamyslasz?«

Żenić się! w moim wieku? — A z resztą, któżby poważył się żenić od czasu rewolucyi?

»Przeciwnie. Mieliśmy dosyć czasu zapomniéć haniebną historyjkę pi. Tiquet.«

O, wszystkie kobiéty do niéj teraz podobne. Możesz mi wćpan wierzyć.

»To wćpan starym kawalerem chcesz zostać?«

Od czasu rewolucyi żyje każdy jak może i nie jest rzeczą roztropną obarczać się nowémi ciężary.

»Tym sposobem nie byłoby dzieci.«

Ludzie poczciwi nie pragną ich.

»Którzyż są u wćpana poczciwi?«

Szczególne zapytanie!.. Mnie podobni. Ale od czasu rewolucyi już takich bardzo mało.

»Przebacz wćpan, że tak dziecinne zadałem mu zapytanie. Powinien byłem wiedzićć o tém. Ale mówiąc o czém inném; jak się wćpanu jego nowy portier nadaje?«

Nie można żądać zbyt dobrych ludzi od czasu rewolucyi; dawniéj ludzie podobni byli grzeczni i usłużni, przestawali na tém, co się im dało. Dzisiaj dzieje się wcale inaczéj.

»To złe jest bez wątpienia. — Chciałbym widzieć ogród wćpana. (Poszli do ogrodu.)

»Co za piękne drzewo figowe! Szkoda, że jeszcze owoców nie rodzi.«

Owoców z drzewa tego zapewne nigdy jeść nie będę! Od czasu rewolucyi nic się nie udaje.

»Ale przynajmniéj będziesz wćp. jadł te brzoskwinie. Już duże, a jak zarumienione.«

Byłyby dobre, gdyby słońca więcéj było, ale od czasu rewolucyi i słońce pokazuje się rzadko.

»O co tego, to już za nadto, kochany przyjacielu! Radzę mu w ogrodzie swoim zasadzić p o k r z y w ę, lecz i ta może nie uda się od czasu rewolucyi.«

Jako! wćpan mi nie wierzysz?

»Nie! od czasu rewolucyi nie jesteśmy zbyt łatwowierni. Żegnam wćpana, mości sąsiedzie.«

To jakiś człowiek podejrzany. Zapewne Jakobinista. —

WIADOMOŚCI ROZMAITE.

— Ze Lwowa. —

Czwarty i ostatni zeszyt Czasopisma naukowego księgozbioru publicznego imienia Ossolińskich na rok trzeci, 1830, wyszedł w tych dniach z druku; zawiera następujące rzeczy: 1. O stosunkach listowych Jana Zamojskiego, podkanclerza, poźniej kanclerza w. kor. z Mark. Ant. Franc. Muretem, za rozkazem Stefana, króla polskiego przedsięwziętych, do wezwania tegoż Mureta do Polski ściągających się, w raz z innemi listami, tej okoliczności tyczącemi się. 2. Podróż Władysława, królewica polskiego, do Niemiec i Włoch, r. 1624 i 1625 odbyta. 3. Wiadomość o nobyczajeniu Afryki. (Dokończenie.) 4. Rozprawa o zmianach na kuli ziemskiej, przez Michała Popiela. (Dokończenie.) Wiadomość o księgach hetmańskich Stanisława Sarnickiego. (Dokończenie.) 5. Spis darów dla zbioru imienia xiążąt Lubomirskich *Museum Lubomirianum* uczynionych. 6. Spis dzieł dla księgozbioru publ. imienia Ossolińskich darowanych. 7. Spis dzieł drukowanych i litografowanych w Galicyi roku 1830.

Mało zapewne komu wiadomo będzie, że juryści mają osobną książkę do modlenia: wyszła roku 1675 w Frankfurcie nad Odrą, i ma tytuł następujący: *Laurentii Bechelli Enchiridion Christiani jurisconsulti seu preces sacrae ex singulis institutionum juris civilis titulis elicitae.*

Fouquet, minister Ludwika XIV., dawał poecie Lafontenowi rocznej pensyi 1,000 franków, za to tenże musiał mu co kwartał wiersz zrobić. Gdyby podobny płaciciel zjawił się w czasach naszych, zapewneby mu na wierszach nie brakło.

Pewien Amerykanin dostał patent na robienie papieru z drzewa. Dawniéj już robiono papiér z ziemniaków: przedni wynalazek; złośliwy recenzent mógł dzieło, które mu się nie podobało, zjeść na śniadanie.

Z powodu mody terazniészéj noszenia wąsów, wyrachował matematyk, że człowiek żyjący lat 80, gdyby na ogolenie wąsów tylko trzy minuty potrzebował, przez życie całe, goląc się codzień, oszczędziłby niegoleniem tychże dni 56 i minut 54. Przez przeciąg czasu takiego, ileż rzeczy zrobić może człowiek!... Krol boha erski podbić może państwo sąsiednie, kokiétka rozkochać i opuścić kochanka, a zły autor może napisać dzieło, które w takim samym czasu przeciągu zapomniane będzie.

Korónkarki w Normandyi dla oszczędzenia opału dziwnego surogatu używają. W czasie zimy (a w porze téj roku jest bardzo przykre zimno, drzewo do opału drogie, zaś względem palenia węglami mają Normandczykowie niezwyciężony przesąd), robią takowe układ z dzierzawcą, który mnogą ilość krów w ciepłéj oborze trzyma, ażeby mogły warsztaty swoje rozłożyć po między témi mlékodawczémi matkami. Krowy stoją rzędem po jednéj stronie obory, po drugiéj siedzą korónkarki na słomie, z założonémi na krzyż nogami. Na przeciw każdéj z tych dziéwcząt, we framudze ściennéj, stoi światło za szklanną okrągłą flaszką, któréj płaska strona ku światłu, wypukła zaś ku robotnicy zwrócona. Ponieważ obory te za ciemne są, by bez światła tak delikatną pracę robić można, i często także bydło znajduje się w polu, korónkarki w nocy więc robią. Młodzi ludzie, zaznajomieni z niemi, przy téj sposobności schodzą się także do obór, siedzą, albo leżą na słomie koło swoich kochanek, spiewają, opowiadają powiastki i tym sposobem pracujące piękności po całych nocach zabawiają.

Jedna z największych piramid egipskich jest olbrzymia piramida króla Cheopsa w Egipcie średnim. Ażeby miéć wyobrażenie o wielkości tego pomnika, wiedziéć potrzeba, że 360,000 Egipcyjanów całe lat 20, bez przerwy nad nim pracowało. Napoleon, w czasie bytności swojéj w tym kraju ruin, kazał koło piramidy téj wystawić pomnik z gruzów, a czelny kamień jego ozdobić napisem, stósownym do ówczesnéj wyprawy. Po wyjściu wójsk francuzkich z Egiptu, Arabowie pomnik ten w dniu jednym do szczętu znieśli, gdy tymczasem olbrzymia piramida przetrwała lat kilka-tysięcy, a czas tak bezwładnie rozbijał się o jéj ogrom, jak bałwany morza o skałę morską. Kamień z napisem znaleziono po między gruzami i tenże według zapewnienia gazet francuzkich, ma być do Paryża przeniesiony i postawiony w Panteonie. Napoleon także w czasie pobytu swojego w Egipcie, piramidę jednę nazwał *Sułkowski*, na cześć poległego tamże tego oficéra polskiego.

Dwóch sławnych wodzów starożytności było niezmiernie otyłych, Maryjusz, Rzymianin i król Jan Sobieski.

M o d y.

Mężczyzni, ubierający się podług mody angielskiéj, noszą niezmiernie szerokie i długie pantalony. Najwięcej z białego drelichu, *coutil*. Kamizelki tak bardzo wycięte, że widać cały przód koszuli, u niektórych znowu kamizelki tak szerokie mają kołniérze i tak wygięte, że prawie suknią zasłaniają.

Damy noszą chińskie fryzury i loków na czole nie widać już u nich. Młode panienki nosiły na czołach girlandy z róż, bez listków, lecz z odkwitnieniem róż i ta moda ustała. Podług mody angielskiéj suknie tak wycięte być powinny, ażeby plecy widać było. Kolor kapeluszów negliżowych jest niebieski i szarawy, wizytowych, biały.

Mężczyzni noszą włosy zczesane razem i w jeden kłąb u góry zawinięte, czoło otwarte być powinno i nawet kapelusz zasadza się na tyle głowy. Przy surdutach i frakach widać niezmiernie szerokie kołniérze z dwóch sztuk zrobione i na plecach na trójkąt kończące się.

Najnowszém ubraniem kapeluszów damskich jest słonecznik z wyciętych wstążek zrobiony i u góry umieszczony.

Paryżanie dobrego tonu największą okazują troskliwość w ubiorze służących swoich. Ubior tychże nie jest przeładowany złotem lub bortami, lecz za to z największą utrzymywany elegancyją. Damy przesadzają najwięcéj w elegancyi swoich pokojowych. Modna pokojowa powinna być ładna, z rączkami aniołka, ubrana prawie idealnie i pachnidłami dusząca.

Modni traktyjernicy miasto spisów potraw, rozdają gościom pysznie drukowane i oprawne książeczki, w których przy każdéj potrawie znajduje się elegancka rycinka, wyobrażająca rzecz, z któréj potrawa zrobiona. To zaostrza apetyt i oku miły widok sprawia.

Ogrodnictwem bardzo zajmują się damy. Mają towarzystwo ogrodnicze w Paryżu i najpiękniéjsze kwiaty w *Louvre* na widok publiczny wystawiają. Z tego powodu dziennik, z którego te mody wyjmujemy, robi tę grzeczną dla dam uwagę, że one są kwiatami, a mężczyzni jarzyną.

Do rozrywek wiejskich należy hustawka nocna. Dama w bieli ubrana, siada w czarną na czarnych sznurach wiszącą, dwoma latarniami oświeconą hustawkę, i jak duch nocny wydaje się, kołysząc się w powietrzu po między drzew zielonością.

W wielkich domach na wsi utrzymują pewną osobą, zwaną *archiviste conservateur*. Jest ona obowiązaną wszystkie płody sztuk pięknych, poezyje, utwory muzyczne, rysunki i. t. p. przez kogobądź w tym domu dla rozrywki zrobione, zbiérać w księgę, a po końcu roku oprawną składać w księgozbiorze domowym. Tym sposobem tworzy się „archiwum familijne“, wiele ciekawych, ładnych rzeczy, a nie raz nader miłych pamiątek.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.